

W redakcji kilkakrotnie rozpamiętywałem to wydarzenie z „panem Grzegorzem” i red. Zmarzlikiem. Pierwszy firmował „wersję oficjalną”, drugi miał na to nieco inne spojrzenie:

...„Sprawa Pohla – pisał J. Z. W „Przeglądzie Wydarzeń Piłkarskich” – niczego nie pogarsza, ani nie zaciemnia obrazu. Za dużo się o niej pisało i to z winy Pohla, jak i z winy PZPN, a także interwencji z zewnątrz. Gdyby nie bajeczka o piwku, to nie byłoby interwencji, petycji i nieprawdziwych sprostowań”.

Pohl nie zagrał już w najbliższym meczu z Irlandią Północną, nie miał więc kto „wstrząsnąć Wyspiarzami” – przegraliśmy 0:2. Reprezentacji był potrzebny, ale karencja trwała znacznie dłużej, niż sądzono. W lidze grał, w drużynie narodowej – nie. Bardziej święci od papieża działacze PZPN nadal trzymali Ernesta na dystans. Pauzował przez cały 1963 rok. Dopiero w następnym Motoczyński przeforsował jego kandydaturę na mecz rewanżowy z Czechosłowacją. Miał zaufanie do Pohla. Sympatia odwzajemniona, Ernest strzelił dwa gole i Polska wygrała 2:1.

W każdym z następnych udanych spotkań z Turcją, Szwecją i Irlandią strzelał po jednej bramce. Nie zadzierał nosa, choć koledzy w klubie i reprezentacji nazywali go „Nochalem”. Był lubiany także przez młodzież. Włodek Lubański zwierzył mi się, gdy Ernest kończył karierę: – *„Wszystko zarządzam serdeczności Pohla. Był dla mnie piłkarskim ojcem chrzestnym”*. Wyjątkowo wszechstronny, o niespożytych siłach, z łatwością podnosił stukilogramowe ciężary, mógł grać na każdej pozycji. Piłkarski gladiator. Strzelec wyborowy w lidze i reprezentacji, ale też genialny strateg. Po latach zagadnąłem trenera Koncewicza: – Czy była potrzebna ta szopka z Pohlem w Bratysławie? I tak był najlepszy...

– Właśnie! I tu dochodzimy do sedna sprawy – odpowiedział „Faja” w swoim mentorskim stylu. – Najlepszy nie znaczy taki, jakim mógł być i powinien, gdyby nie te jego słabostki. W 1968 roku spotkałem go w Nowym Jorku. Grał

tam i pracował fizycznie. Powitał mnie z wyraźną sympatią. Na pożegnanie wciśnął do kieszeni dwadzieścia dolarów: – To na tytoń do fajki... Pan tak to lubi...

W sezonie 1962/1963 zmieniono wreszcie niezgodny z duchem epoki system gier ligowych z układu „wiosna-jesień” na „jesień-wiosna” i przywrócono rozgrywki o Puchar Polski. Ostatnim królem ligi według dotychczasowego cyklu była Polonia Bytom. Grała rewelacyjnie, na poziomie wymaganym od mistrza Polski. Szymkowiak, Kempny, Liberda, Grzegorzczak i Trampisz od dawna byli ulubieńcami selekcyjnych, ale dopiero teraz w pełni potwierdzili zarówno reprezentacyjne, jak i ligowe aspiracje. Otóż Polonia, zwana wtedy „bezdomną”, ponieważ boisko w Bytomiu było w remoncie, w jednym z dwóch spotkań decydujących o tytule w 1962 roku na Stadionie Śląskim pokonała Górnika Zabrze aż 4:1. Dla fotoreportera Gienia Warmińskiego, który przepadał za Ernestem Pohlem i jego kolegami z drużyny, była to ogromna niespodzianka. Przed meczem rewanżowym na boisku Ruchu w Chorzowie przekonywał trenera Edwarda Drabińskiego, że zabrzanie odrobą straty:

– Warmińsiu, czyś ty oszalał? – pienił się Drabiński w węgierskiej restauracji „Hungaria” w Katowicach. – Znam dobrze Polonię, byłem jej trenerem, pogoni tych „rycerzy wielkanocnego stołu!”.

– Drabińsiu – ripostował Gienio – rozumisz, że ty nic nie rozumisz! Rozumisz...Górnik teraz i jeszcze przez parę następnych lat będzie najlepszy w Polsce, rozumisz...

– Spokój! Róbcie zakład, ja przyklepię – przerwałem tę paplaninę.

– Warmińsiu, ale nie o pieniądze, nie o wódkę i nie o zakąskę!

– A o co, Drabińsiu? Jak to rozumisz...

– Warmińsiu, słuchaj ty cwaniaczku! Który z nas przegra, na kolanach przedefiluje wokół boiska w Chorzowie...

– Na kolanach?... Ja z aparatem i stołeczkiem?

– Jeśli Górnik odrobi straty, to ja się pomęcę. Starszy pan...

Rewanż wygrał Górnik 2:1, ale w dwumeczu zdecydowanie lepsza była Polonia. Drabiński triumfuje. Przedwcześnie. Wygrał, ale zwycięstwa nie skonsurował. Jeszcze trwała koronacja nowego mistrza, a na stadionie Ruchu już nie było Warmińskiego. Zwiął. Drabiński wściekły, jak pies.

– Redaktorze, jedź pan ze mną na dworzec w Katowicach. W pociągu dopadnę Warmińsia!

Pojechaliśmy. Trener przeszukał wszystkie wagony i przedziały, podnosił nawet siedzenia, wlaził na półki, ale Gienia nie znalazł. Zapadł się, jak kamień w wodę... Roztrzęsiony Drabiński w „Hungarii” postanowił uspokoić skołatanne nerwy. Dotrzymałem mu towarzysztwa, a gdy trenerowi już zaczął wracać humor, powiedziałem:

– Panie Edziu, Gienia można pokonać, ale zainkasować wygraną, to już znacznie trudniej. Taki ma charakter...

Dominacja Śląska w krajowym piłkarstwie była wtedy wyraźna. W 1960 roku mistrzem został Ruch, w następnym Górnik, a teraz Polonia. „Śląski trojak” – tak to widziała tamtejsza prasa. Za Brynicą, w klubie i w gabinetach sosnowieckich prominentów, nie było to zbyt mile widziane. Zaczęto więc i tam budować czwartą potęgę piłkarską w regionie. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych Zagłębie rzeczywiście było mocne. Jeszcze dobrze grali rutyniarze: Machnik, Majewski i Uznański, a już pojawiło się nowe, uzdolnione pokolenie: Śpiewak, Gałeczka, Gaik, Myga, Kosider i Piecyk. Wspierali ich bardziej doświadczeni: Szyguła, Bazan, Krawiarz, Fulczyk, Strzałkowski i zupełnie młody Jarosik. Wielu reprezentantów Polski. Bywało, że pojedyncze spotkania wygrywali nawet z Górnikiem Zabrze, jednak w lidze przeskoczyć go nie mogli.

Lepiej wiodło się „chłopcom z Sosnowca” w rozgrywkach o Puchar Polski. W latach 1962 i 1963 dwukrotnie dotarli do finału i oba wygrali – pierwszy

właśnie z Górnikiem, a drugi z Ruchem. Mecz odbył się 1 maja, w dniu Święta Pracy. Roman Stachoń, fan Ruchu, zrobił z tego wielką galę robotniczą i... liczył na zwycięstwo chorzowian. Sosnowiczanie na widowni było więcej, oni w ogóle nie dopuszczali myśli o przegranej. Triumfalnie wymachiwali barwnymi chorągiewkami. W klapach mieli biało-czerwone wstążeczki. Wyśpiewali wygraną Zagłębia. Jerzy Zmarzlik wniebowzięty: – Tak się bawi Zagłębie! Wraciałem z Jurkiem do Warszawy. Wciąż był w świetnym humorze, zaprosił do wagonu restauracyjnego na małego „Żywca”. Ja postawiłem po „pięćdziesiątce”. Przekąsiliśmy parówkami i wróciliśmy do przedziału. Zmarzlik nie siada. Otworzył swój podróżny naseserek i mocno się zdziwił. Spojrzał teraz na górną półkę, poprosił pasażerów, by powstali z miejsc i... zaczął podnosić siedzenia.

– Czego pan szuka, kolego? – zapytał jeden z pasażerów.

– Książki... Zacząłem czytać jakiś kryminał i gdzieś go posiałem. Może spadł na podłogę?

– Proszę zajrzeć do prawej kieszeni... Jak wychodził pan z kolegą, to tam wepchnął tę książeczkę... Jest...?

Wicenaczelnym często bywał roztargniony, zwłaszcza przy grze w karty. Gdy mu nie szło, wprowadzał w redakcji przeróżne zakazy. Jak tylko się uspokoił i zażęsknił za karioką, zrywał kartkę potępiającą hazardzistów, którą sam wywieszał i... znowu zachęcał do gry. Najpierw zmyłkowo w cymbergaja, a zaraz potem w brydża. Od czasu do czasu razem wyjeżdżaliśmy na urlop do Domu Dziennikarza w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Wieczory spędzaliśmy w „piekiełku” w towarzystwie mocno trunkowych lub w świetlicy właśnie na grze w karty. Tu również Zmarzlik rzadko wygrywał. Zdegustowany wymyślił zabawę w „trupki”. Czytał nekrologi z „Życia Warszawy” i kazał zgadywać, ile lat miał zmarły. Tu też nie zawsze był górą. W Kazimierzu był jeszcze najprawdziwszy bilard, taki z sześcioma łuzami i szesnastoma kulami, tradycyjny, petersburski. Można

było pograć w „amerykanke” lub w „piramidkę”, bo bile były numerowane. Ale tu królem byłem ja, w „amerykanke” miejscowego „mistrza” ograłem w trzech krótkich partiach: 8:3, 8:2, 8:1. Któregoś popołudnia, zaraz po obiedzie, redaktor zawitał do naszego pokoju. W oczekiwaniu na otwarcie „piekielka” grałem z żoną w tysiąca.

– Kto wygrywa? – zapytał.

– Ja – pochwaliła się żona.

– Mogę się do was przyłączyć?

– Siadaj na moje miejsce – odpowiedziała Danusia. – Ja poczytam...

Długo nie graliśmy, bo karta się „odwróciła”, znowu ja zacząłem wygrywać. Zmarzlik zerwał się z krzesła, jak oparzony i popędził do barku, by „setką” pejsachówki, najczęściej z zakąską z „płonącego kabanosa”, złagodzić zdenerwowanie i przewyciężyć – jak mawiał – ów karciany „lusus naturae”, czyli wybryk natury. W kartach wyraźnie mu się nie wiodło.

Dziennikarze, obojętnie jakiej specjalności, stali bywalcy Kazimierza, Broniarek, Dobrowolski, Dutkowski, czy Choynowski, także Korolkiewiczowa i Ryster, to w większości ludzie towarzyscy. W Kazimierzu Dolnym bez większych przeszkód mogli zaspokoić każdą swoją zachciankę. Urlopowe flirty też się zdarzały. W redakcji i podczas wyjazdów służbowych było o to już znacznie trudniej. Jednak nigdy nie brakowało okazji, by pójść na kielicha i pograć w karty. W „Przeglądzie Sportowym”, w „Sporcie” Katowice, w „Wiadomościach Sportowych”... Pili, choć w różnych wymiarach, zazwyczaj wszyscy, natomiast w karty grali niektórzy.

Kierownictwo „PS” promowało brydża, wszak naczelny po dymisji w Polski Związku Kolarskim, prezesował właśnie brydżystom. Redakcyjny plebs najchętniej zabawiał się w kariokę, kierki, makao i od czasu do czasu w pokera, zwłaszcza wtedy, gdy nieosiągalną dla nas „wierszówkę” inkasował karykaturzysta Edward

Ałaszewski, a Leszek Cergowski miał już lekko w „czubie”. Lubili poszaleć. Niecierpliwie na ich sygnał niemal zawsze czekali: Głuszek, Karolkiewiczowa, Lechowski, Szymkowski, Sztanderski i... Zmarzlik. Psioczył na zły los, ale wyzbyć się hazardu nie potrafił. Raz w tygodniu dołączali do ferajny Miruś Skórzewski wówczas z „Expressu Wieczornego”, niegdyś znany pływak Mieczysław „Kot” Kociszewski i oszczepnik Zbigniew „Szaman” Radziwonowicz. Pojawiali się też Witek Różycki z PAP-u i niejaki „szanowny”, kumpel Mietka Szymkowskiego.

Rozdawaliśmy karty na kilku stolikach. Grali wtedy nawet: Aleksandrowicz, Cendrowski, Cunge, Samulski, Świdorski, Weiss i Duński, rodzony brat „złotej Eli” z Melbourne. Praktycznie tylko Magda Jankowska balowała gdzieś poza Warszawą. Licytacje z udziałem „drugiego rzutu” wywoływały często salwy śmiechu lub... zgrzytanie zębów. Starsi koledzy nadal gustowali bowiem w „polskim zapisie”, przeto zwłaszcza w „międzynarodowym” popełniali gafę za gafą. Mocno ich wtedy beształ Zygmunt Głuszek. Raz grał w parze z Witkiem Duńskim. Uwielbiał kontrakty bezatutowe, natomiast Wicio gustował w kolorach. Po jednym z rozdań „Głuch”, zazwyczaj spokojny i zrównoważony, bez fałszu przy tym podśpiewujący melodie z „Przygody na Mariensztacie” lub po mistrzowsku „wygrający palcami na zębach”, wrzasnął nagle aż się szyby zatrzęsły:

– Ty cybernetyku! Z czym ty się pchasz na tak wysoką grę w kolor? Trzy bez atu! Tylko trzy bez atu!...

Takich spięć było więcej. Na grę w brydża, zwykle w piątek po fajrancie, najbardziej napalał się Zyzio Weiss, ochrzczony przeze mnie „profesorem”. Jako skarbnik Klubu Dziennikarzy Sportowych skrupulatnie i bezbłędnie liczył każdy grosz w kasie, ale przy stole karcianym nie zawsze radził sobie ze ściąganiem atutów. Zagrywa jakąś niby fortę, a tu Cungowa przebija ją trójką pik. „Professor” w takich sytuacjach był rozbrajający, zawsze sprytnie, z humorem tłumaczył każdy swój błąd lub przekleństwo:

– Boże, Elu! To chyba jakiś cud! Ty, matka dorosłego syna, masz jeszcze taką małą piczkę?

Dowcipami tryskał również pływak Kociszewski. Na pytanie, do której może grać? – bez namysłu odpowiadał:

– Do pierwszego września!...

– Dlaczego tak długo?

– Wakacje... Jestem belfrem. Dopiero we wrześniu wracam do szkoły...

„Kot” miał gębę pełną okazjonalnych komentarzy. Komplementował lub ganił partnerów. Podziwiał głównie oryginalne licytacje i nietypowe zrzutki Zmarzlika:

– Naczelniku! Genialnie! Przed panem tylko Kościuszko i Piłsudski mieli takie pomysły. Historia to zapamięta!...

Na grze w karty spędzaliśmy też niejedną noc. Głuszek dzwonił wtedy do „Delikatesów” przy Marszałkowskiej róg Wilczej i składał zamówienie na żarcie i picie:

– I koniecznie ogórki konserwowe! Nad ranem się przydadzą...

Zygmunt po takich „nocnych biesiadach” nigdy nie wracał do domu. Czekał aż nasz znajomy fryzjer „Gienio” z ulicy Mokotowskiej otworzy zakład. Golił się u niego i odświeżał, a potem obok w barze mlecznym prosił o gorące mleko i dwa jajka w szklance. Wracał do redakcji, pisał coś do gazety lub dzwonił do którejś ze swoich pańienek i umawiał się, najczęściej z Anakondą na obiad. Do pokera nie siadał:

– Nie lubię gier – powiadał – w których decyduje głównie kasa i blef, a nie umiejętności...

Z redakcji „Przeglądu Sportowego” przy Mokotowskiej 24 do PZPN w Alejach Ujazdowskich 22 było blisko, odległość jak dobry rzut „Szamana” oszczepem. Służbowo bywał tam „pan Grzegorz”, niekiedy „prezes” Zmarzlik (to też mój po-

mysł na ksywkę), najczęściej – ja. Po pracy etatowców i zebraniach społecznych działaczy tam też grano w karty, a i flaszką nie gardzono. Mistrzem w organizowaniu towarzyskich seansów był najczęściej główny księgowy Wacław Kida. Chętnie mu w tym sekundowali dyrektor biura, Józef Okapiec i szef organizacji zawodów Jerzy Ptaszyński. Obaj mieli mocne głowy. Józio zwykł mawiać: – *Kto nie pije, ten donosi. Kapuś!*... Kida rzadko wracał do domu, w PZPN czuł się najlepiej. Uczestniczył w zebraniach wszystkich wydziałów Związku. Był na bieżąco, dobrze wiedział, co w trawie piszczy. Decydował o finansach...

– Najważniejsze są rozgrywki – twierdzili działacze Wydziału Gier i Dyscypliny.

– Bez sędziów nie ma meczu – chełpili się ludzie Eksztajna.

– Spokojnie panowie, spokojnie... Kim będziecie grać i komu sędziować, jeśli szkolenie, trenerzy nie wychowają zawodników? Nasz wydział jest najważniejszy! – przekonywał Koncewicz.

Trochę z góry, trochę z politowaniem patrzył na to Wacek Kida. Miał w PZPN swój skromny gabinet, a w nim kasę pancerną.

– Znacie panowie ten schowek. Zamknięty. Tam są czeki i gotówka. A kto ma klucze do kasy? Pan Kida... Więc kto tu jest najważniejszy?

Księgowy był zapalonym hazardzistą. Lubił wypić, dobrze pojeść, najchętniej golonkę w knajpie „Pod chomontem” i nawet zatańczyć, zwykle „Pod Retmanem” na Mariensztacie. Ale wyścigi na Służewcu i każdą grę w karty stawiał ponad wszystko. W brydżu uznawał tylko stary „polski zapis”. Dobrze czuł się w każdym towarzystwie, ale z sędziami grywał najczęściej. Mówił, że oni mają najwięcej pieniędzy. Dziwił się jednak, że prawie wszyscy jeżdżą samochodami... Skąd biorą te talony? Zdarzało się, że Kida rozgrywał roberka w parze ze Stasiem Eksztajnem zwolennikiem zapisu międzynarodowego. Wacek oczywiście licytował „po polsku”... Bronił każdej partii jak... niepodległości. Czasami



doprowadzał partnera do białej gorączki. Podrywał się wtedy Stasio z krzesła i wrzeszczał:

– Kida! Czyś ty zwariował?! Kiedy się wreszcie nauczysz grać?!

Wacek też unosił tyłek, ale powoli, spokojnie, długo się prostował i majestatycznie cedził słowo po słowie:

– Eksztajn! Czy ja ci kiedyś mówiłem, że umiem grać w brydża? Ja tylko lubię grać w brydża... Rozumiesz! Więc nie podnoś tu głosu...

Kidzie podobała się również karioka. Przyniosłem tę grę do PZPN z „Przeгляdu Sportowego”. To trochę brydża, trochę... kierek. Trzeba myśleć i uważać. Gra zespołowa....

– A czy singla też można w to zagrać? – pytał.

– Oczywiście!...

Był ambitny, koniecznie chciał się ze mną zmierzyć i... wygrać. Przyjąłem propozycję.

– Ale gramy tylko do dziesiątej trzydzieści – zastrzegłem. – Przed jedenastą muszę być w domu. W nocy nie chcę budzić żony...

Kilka partii już za nami, jednak wszystkie moje. Kida nie ustępuje.

– Jureczku! Tylko jeszcze raz, teraz już na pewno wygram.

Minęła północ, a Wacek wciąż przegrywa. Do chałupy już nie ma sensu wracać. Za późno. Jak przetrwać tę noc? Trzeba wygrywać do samego rana! Byłem mocno umotywowany i skoncentrowany. Przegrałem decydujące rozdanie dopiero wtedy, kiedy dozorca podstawił pod drzwi butelkę z mlekiem, a sprzątaczką przyszła robić porządki. Świtało, była szósta rano. Dziś bardzo modne są rzeczowniki: motywacja, mobilizacja, koncentracja, profesjonalizm. Każdy piłkarz ma ich pełno w gębie. W praktyce dość często postępuje inaczej. Niewiele ma w sobie mentalności zwycięzcy. A bez tego trudno o dobry wynik, sukces, wygraną.

Mówię o tym z własnego doświadczenia. Przed laty, kiedy jeszcze byłem studentem, co jakiś czas spotykałem się z kolegami w salach bilardowych. Grą w te kulki dorabiałem do stypendium. W Warszawie „Pod Arkadami” i w „Smocznej jamie”, a w Skierniewicach u Plaskoty, Koterwasa i Iwańczyka. Pewnego razu właściciel jednej z cukierek zaproponował mi partyjkę za... pięćset złotych. Stypendium wynosiło wtedy 210... Skąd ja tyle wezmę? Brakujące pieniądze zebrali jednak koledzy, złożyłem pięć stów do łuzy... i poszły konie po betonie. Cukiernik zaczął brawurowo, osiągnął miażdżącą przewagę, którą na finiszu można by wyrazić ośmioma jego szansami, a moją jedną. Każde nieudane uderzenie groziło utratą połowy stypendium pięciu przyjaciół.

Zrezygnowani kumple wyszli z sali, ale ja nie złożyłem broni. Intensywnie myślałem: – Przecież umiejętności wciąż niezłe... Choć z powodu braku systematycznego treningu forma nieco słabsza, to jednak ambicja i motywacja przeogromna. Tego nie wolno przegrać! Koledzy zaufali, nie można ich zawieść. Pot spływał mi z czoła, ale powolutku, zmierzałem do celu. Ubywało bil na stole, pęczniała moja szuflada. Partner zaczął się denerwować, pudłował. Awantaż po mojej stronie. Poczuję się rozluźniony, jakby lżejszy o ileś tam kilogramów i coraz pewniejszy. Partnera zaczął paraliżować mój spokój i – co tu ukrywać – niesamowite powodzenie. Bez pudła wykorzystywałem każdy jego błąd. Wygrałem na tzw. „ostatnią”. Powie ktoś, bilard – to nie piłka nożna. Tam takie cuda się nie zdarzają. Zgoda. Ale pewne stany i reakcje w każdej dyscyplinie sportu są podobne, często nawet takie same. Trzeba chcieć i umieć wygrywać!

Partner uznał moją wygraną, jako wybryk natury. Fuks na torze! By szybko zatrzeć tę wpadkę, podwoił stawkę. Teraz każda partia ma wartość tysiąca złotych! Startowaliśmy już z innej pozycji, byłem mocniejszy psychicznie. Teraz więc ja walę w cukiernika, jak w kaczy kuper. W kieszeni coraz więcej bankno-

tów: dwa, cztery, osiem patyków. Właściciel prawie za każdym razem łapczywie podwajał stawkę. Po dwóch godzinach z randek wrócili koledzy:

– Co ty jeszcze grasz?

– Jak widzicie...

– Kto cię obstawia?

– Jak to kto? Wy...

Grałem z cukiernikiem już w obecności kumpli niemal do północy. Był nieustępliwy, upadał i podnosił się, pił kawę, sięgał po koniaczek, przemywał twarz i ręce, ale moja wola zwycięstwa była większa, niż jego hazardowe tricki. Zabrałem mu całą gotówkę przeznaczoną na remont lokalu. Było to kilkanaście tysięcy złotych. W latach pięćdziesiątych dla nas studentów suma ogromna. Podzieliliśmy to równo, na pięć części. Balowaliśmy kilka dni. Cukiernik miał kłopoty w domu, długo nie mógł się pozbierać. Moje odczucia? W pełni poznałem wielką siłę motywacji i zbawienną rolę koncentracji. Potrafią czynić cuda... Jednak przede wszystkim samemu trzeba coś umieć i chcieć!...

Przed wojną ponad wszelką wątpliwość najlepszą polską drużyną był Ruch Chorzów. Później dyskusje „kto lepszy” – Wisła Kraków, Legia Warszawa czy może znowu Ruch, trwały do końca lat pięćdziesiątych. Aż pojawił się Górnik. Piłkarze z Zabrze byli najlepsi już w sezonach 1957, 1959 i 1961, ale dopiero od roku 1963 zaczęło się ich bezapelacyjne panowanie w krajowym futbolu. W ciągu dziesięciu lat wywalczyli pięć tytułów mistrzowskich i tyleż razy zdobyli Puchar Polski. To bardzo szeroko otwierało bramy na europejskie stadiony. Czy Górnik właściwie to wykorzystał? Nie do końca! I to nie tylko z własnej winy.

Praktycznie we wszystkich krajach europejskich tytuł mistrza upoważniał do udziału w rozgrywkach o Klubowy Puchar Europy. U nas, niestety – dość długo obowiązywały inne praktyki, znowu jakieś „**ni pies, ni wydra**”. W latach 1957 i 1959 Górnik był najlepszy, ale w KPME raz wyręczyła go Polonia Bytom, a raz

Legia Warszawa. Sprawę gmatwał system rozgrywek „wiosna-jesień”, daleki od norm europejskich. Nasz mistrz na „wejście do Europy” musiał czekać cały rok, ale próg ten przekraczał tylko wówczas, gdy na półmetku nowych rozgrywek zajęł miejsce nie gorsze, niż trzecie. A to się rzadko zdarzało. Stąd między innymi w roku 1955 w Pucharze Mistrzów Gwardia Warszawa grała za Polonię Bytom, a w 1957 za Legię, w 1958 Polonia Bytom i w 1960 Legia za Górnika, zaś w 1961 Górnik Zabrze za Ruch Chorzów. Istna kołomyjka! Tylko w roku 1956 Legia i w 1959 ŁKS grały w Pucharze Europy wyłącznie na własny rachunek.

System „jesień-wiosna” wprowadzono u nas dopiero w sezonie 1962/1963. W pierwszym półroczu 1962 w skróconych rozgrywkach (w dwóch grupach) wyłoniono mistrza jeszcze według starych zasad, a w sezonie 1962/1963 już zgodnie z normami europejskimi. Od tego momentu naszą ligę w Klubowym Pucharze Europy reprezentował autentyczny mistrz Polski. Polonia Bytom (ostatni mistrz starego systemu), jako pierwsza z polskich drużyn, po dwóch zwycięstwach nad Panathinaikosem Ateny 4:1 i 2:1, awansowała do drugiej rundy. Wreszcie przerwano jakiś „zaczarowany krąg”. Pozostałe starty polskich drużyn w PKME kończyły się na pierwszej rundzie. Tę niechlubną tradycję zabrzanie przełamali w sezonie 1967/1968. Najpierw wyeliminowali Djurgaarden Sztokholm, a potem Dynamo Kijów. Duża niespodzianka, bo Ukraińcy wcześniej pokonali Celtic Glasgow, obrońcę Pucharu Europy 1967.

Z Warszawy do Kijowa wybrałem się pociągiem w towarzystwie red. Zbigniewa Kosska z Polskiej Agencji Prasowej. Do granicy z ZSRR podróż komfortowa – tylko my dwaj w całym wagonie sypialnym. Sielanka skończyła się w Medyce. Tuż za granicą do naszego slipingu wsiadły jakieś dwie baby. Konduktor nie interweniował, uznał to za zjawisko normalne. Skwitował krótko: – Przecież to też ludzie!... We Lwowie pociąg stał pół godziny, to za mało, żeby zwiedzić miasto. Podziwialiśmy tylko zabytkowy dworzec.

W Kijowie czekało na nas dwóch dziennikarzy, miejscowy Borys Gopnik z pochodzenia Ormianin (ten to mocno trzymał żonę na sznurku) i – sam tak o sobie mówił – graf Arkadyj Galińskij, wysoko notowany w moskiewskim „Sowieckim Sporcie”. Arkadyj rzeczywiście miał korzenie arystokratyczne, a maniere iście hrabiowskie. Źle się wyrażał o swoich chlebodawcach, traktował per noga, patrzył na nich z góry. Opieprzał przy każdej okazji. Miałem wątpliwości: prowokator czy taki facet odważny? Wobec nas był urzekająco uprzejmy. Obaj „opiekunowie” umieli pić na stojąco i w dużych ilościach. Na „dzień dobry” zaciągnęli nas do dworcowego baru. Przepiliśmy bruderszaft dużymi kuflami gruzińskiego koniaku. Repety na „drugą nóżkę” odmówiliśmy. Zamieszkaliśmy w hotelu „Dnipro”, natomiast zabrzenie w gostinicy „Moskwa”. Wieczorem „dynamowcy” na jakiejś łajbie pływającej po Dnieprze zorganizowali dla gości z Polski mocno zakrapianą kolację. Pito w świetle księżyca. Za kołnierz nie wylewałem, ale – jak zawsze – starałem się utrzymać fason. Kossek nieco przeholował. Przełykając „rozchodniaczka” wrzasnął aż łajbą zatrzęsło:

– Siewodnia „pircówka”, spasiwa, a zawtra Górnik da wam w żopu...

– Śmiechem skwitowano to niezbyt zręczne pożegnanie: – Dlaczego przyśyłacie do nas ludzi z taką słabą głową?

Górnik wygrał w Kijowie 2:1. Pomógł Ernest Pohl. Sam już nie grał, nominalnie był teraz kierownikiem drużyny, w rzeczywistości asystentem trenera Gezy Kalocsaia. Podsunął Węgrowi skuteczny wariant gry. Tak to opisałem w „Przeglądzie Sportowym”.

...„Pogromca Celticu pokonany! Poza dużą ambicją i wolą zwycięstwa o wygranej Górnika zadecydowała doskonale opracowana i jeszcze lepiej realizowana taktyka. Zastanawiano się: – Grać w ustawieniu 1+4+3+3 z Lentnerem w ataku czy 1+4+4+2 i wprowadzić do gry czwartego pomocnika, juniora Deję. Za namową Pohla wybrano tę drugą koncepcję. Opanowano w ten sposób środek bo-

iska. Czterej pomocnicy Górnika odebrali dynamowcom zazwyczaj ich największe atuty. Olek wyłączył z gry utalentowanego Sabo, uważanego powszechnie za „mózg” miejscowej drużyny, harowali Wilczek i Deja, a Szołtysik doskonale współpracował z Lubańskim i strzelił dla Górnika wyrównującą bramkę. Drugą tę zwycięską, po rzucie wolnym egzekwowanym przez Kuchtę, strzałem głową zdobył Lubański”.

To w czasie tego meczu Janek Ciszewski ogłosił całej piłkarskiej Polsce, że „*Olek ma podwójne płuca!*”. Natomiast ja znowu byłem pod wrażeniem zwycięskiej wizji Pohla. Kiedyś Ernest pomógł Steinerowi zdobyć z Legią Puchar Polski, teraz z powodzeniem podsunął Kalocsaiowi teoretycznie defensywny wariant „brasiliany”. Na równi z niezmordowanym Olkiem, strzelcami bramek Szołtysikiem i Lubańskim oraz Kostką, który obronił rzut karny, właśnie Pohl stał się współtwórcą kijowskiej wiktorii Górnika.

– Mam szczęśliwą rękę – powiedział – gdzie pojedę, tam wygrywam...

– Lubański, europejska klasa... A Olek? To cudotwórca! Zaszachował naszego mistrza Sabo. Do tej pory nie udało się to żadnemu z zagranicznych piłkarzy – nie mógł wyjść z podziwu trener Dynama, Wiktor Masłow.

## CHARLTON I BEST W CIENIU LUBAŃSKIEGO

W rewanżu było 1:1 i zabrzanie poszli dalej. W ćwierćfinale los przydzielił górnikom jedenastkę Manchesteru United. Bobby Charlton, „kamień na twarz” z Old Trafford, Georg Best „cudowne dziecko” brytyjskiego futbolu i ulubieniec płci pięknej, pracowity jak mrówka Stiles i wschodząca gwiazda, niedawny junior Kidd – to prawdziwy dar niebios dla polskich kibiców. Jak przeciwstawić się temu gwiazdozbiorowi? Anglicy okazali się tylko ciut, ciut lepsi. U siebie zwyciężyli 2:0, a w Chorzowie przegrali 0:1. W sumie szła-

ban dla Górnika. Przewidziałem to przed grą, co na Śląsku przyjęto jak „horoskop ignoranta”.

Mecz na Old Trafford – takie były czasy – opisałem dla „PS” na podstawie... relacji radiowej. Rewelacyjnie bronił Hubert Kostka, dopiero w 89 minucie przepuścił drugą bramkę. Do Chorzowa wybrałem się z informacją o „wydarzeniach marcowych”. Ślązacy zbyli to machnięciem ręki, ich interesował teraz głównie mecz na Stadionie Śląskim. To było niecodzienne widowisko okraszane wspaniałym występem Włodka Lubańskiego, strzelił zwycięską bramkę. W zaspach śniegu, na oczach 90 tysięcy widzów przyćmił gwiazdy Manchesteru Bobby Charltona i George’a Besta. Słynny Matt Busby, ojciec drużyny obawiał się tego meczu. Nie chciał walki na ośnieżonym boisku. Nic nie wskórał, sędzia Lo Bello kazał grać. Kamień z serca spadł Anglikom dopiero po końcowym gwizdku włoskiego arbitra. Górnik wygrał tylko 1:0. Manchester w półfinale! Na tym mistrz Anglii nie poprzestał. W następnej rundzie pogrążył w smutku piłkarzy wielkiego Realu Madryt, a w finale aż 4:1 pokonał Benficę Lizbona. Nasz Górnik w tym towarzystwie spisał się przyzwoicie. Tylko różnicą jednej bramki ustępował zdobywcy Klubowego Pucharu Europy.

Udane występy Górnika w Kijowie i Chorzowie nieco osłodziły gorzką prawdę o naszym piłkarstwie. Nie było reprezentacji na mistrzostwach świata w Szwecji, w Chile i Anglii, a także w puli finałowej Pucharu Narodów Europy w latach 1960, 1964 i 1968. W rywalizacji Mistrzów Europy niewiele lepiej spisywały się drużyny klubowe. Z martwego punktu ruszyły tu dopiero Legia i Polonia Bytom, natomiast w towarzyskich turniejach organizowanych w latach 1963-1965 w Stanach Zjednoczonych nieźle spisały się Górnik Zabrze, Zagłębie Sosnowiec i właśnie Polonia Bytom. Obrotny zagraniczny menedżer „mister Cox” wymyślił intratne finansowe rozgrywki o tzw. Puchar Interligi Amerykańskiej. Zapraszał na te zawody drużyny z całej Europy: brytyjskie, węgier-

skie, greckie, jugosłowiańskie, austriackie, niemieckie, portugalskie, czechosłowackie i... polskie. Od nas na pierwszy ogień poszedł Górnik Zabrze. Spisał się nieźle, wygrał swoją grupę, ale rewelacją tego turnieju jeszcze nie był. Przetarł jednak drogę Zagłębiu i Polonii.

W roku 1964 „mister Cox” postawił na Zagłębie. Wybór uzasadniony. Sosnowiczanie mieli za sobą dwa zwycięskie finały w Pucharze Polski oraz drugie i trzecie miejsce w rozgrywkach ligowych. Ścisła czołówka krajowa. Z prezesem klubu, późniejszym wiceministrem Górnictwa i Energetyki mgr inż. Franciszkiem Wszółkiem, dyrektorem Janem Rollingiem, przedstawicielem PZPN Fabianem Marmurowiczem i trenerem Teodorem Wieczorkiem do USA udało się 16 zawodników. Z pompą żegnano Zagłębie na Okęciu, skąd odleciało do Amsterdamu. Tam razem z Crveną Zvezdą Belgrad, AEK Ateny, Schwechatem Wiedeń i portugalskim Guimaraes pofrunęło za Ocean. Zaraz po pierwszych wygranych meczach z AEK Ateny (3:0), Schwechatem (3:0) i Guimaraes 1:0, trener Wieczorek napisał list do naszej redakcji. Cieszył się jak małe dziecko, chwalił Machnika, Bazana i Jarosika, przekonywał, że sosnowiczanie robią furorę za Oceanem. Amerykańska Polonia była dumna ze swoich rodaków.

W kraju też duże ożywienie. Nawet z ław rządowych przesyłano zwycięzcom gratulacyjne telegramy i proszono o kolejne zwycięstwa. Uskrzydleni Polacy wygrali wszystkie pozostałe mecze i bezapelacyjnie zajęli pierwsze miejsce w swojej grupie. W drugiej mistrzem został Werder Brema. To solidna firma, zachodnioniemiecka czołówka, ale na Zagłębie „nie ma mocnych”. Krawiarz, Szmidt, Gałeczka i Fulczyk strzelili rywalom cztery bramki. Machnik znowu bronił jak w transie i było 4:0! Na stadionie Randalls w Nowym Jorku z kilkunastu tysięcy gardeł popłynęły tony Mazurka Dąbrowskiego: – „JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA...”. Rewanż również dla Zagłębia – 1:0. „PS” informował: – „**Piłkarze Zagłębia w finale Pucharu Ameryki**”.



Red. Jerzy Zmarzlik nie byłby sobą, gdyby po takiej wiktorii ukochanego klubu nie wysłał mnie do Sosnowca:

– Jedź, Juruś! I opisz, co się dzieje nad Brynicą...

Byłem w klubie, w kilku kopalniach i w bloku przy ulicy Cedlera, gdzie mieszkały rodziny zawodników.

– No tak, mój złociutki, z Werderem wygrali. Ale teraz najtrudniejszy orzech do zgryzienia – Dukła Praga! Kouba, Pluskał, Masoupust... Klasowi zawodnicy... Wicemistrzowie świata... – To głosy z kopalni „Czerwone Zagłębie”.

– Wrócą za tydzień... Nareszcie! Wybieramy się na ich powitanie do Warszawy. Czy zdrowi i cali?... To nas w tej chwili najbardziej interesuje – dzieliły się swoimi uczuciami żony Gałeczki, Piecyka i Śpiewaka.

Kopalnia „Czeladź” – to macierzysty zakład pracy Józefa Gałeczki. Dyrektor Feliks Lech mówi podniecony:

– To są rzeczy fantastyczne! Oni, piłkarze są silniejsi i wytrwalsi, niż my górnicy i nasze marzenia...

Zagłębie w USA – to temat numer jeden także w kopalni „Milowice”, gdzie zatrudnieni są: Bazan, Machnik, Piecyk i Strzałkowski. Dyrektor naczelny inż. Janusz Strzemiński z niecierpliwością oczekuje na powrót piłkarzy:

– Górnicy proponują – powiedział – aby środa 12 sierpnia była dniem wolnym od zajęć. Odpracują to w niedzielę... Czy mogłem się nie zgodzić?

Puchar Interligi Amerykańskiej zdobyła jednak Dukła Praga, wygrała z Zagłębiem 3:1 i zremisowała 1:1. Czesi, jako obrońca pucharu, przylecieli do USA tylko na dwa mecze, natomiast Zagłębie rozegrało w tamto upalne lato aż dziesięć. Nierówne szanse. Bilans występów Polaków jednak dobry: sześć zwycięstw, trzy remisy i tylko jedna przegrana.

– „To była dobra robota! – powiedział trener Wieczorek. – Takiej gry kibice nie widzieli w USA od lat.

Wrócili do kraju 12 sierpnia 1964 tuż przed północą. Witalem ich z rodzinami piłkarzy i rzeszą sympatyków Zagłębia. Na płycie lotniska ktoś mi podarował dwie paczki Cameli. Nie palę, ale nie odmówiłem. To był niezły pomysł ofiarodawcy. Gdy przebił się przez kontrolę celną, poprosił o zwrot „papierosów”. W środku były... dolary. Około 2.00 w nocy ze środy na czwartek dwoma nowoczesnymi autokarami udaliśmy się do Sosnowca. Nikt nie spał. Żony pytały, jak tam było, jak żyją za Oceanem rodacy. Cieszył je sukces drużyny i szczęśliwy powrót mężów do domu. Spisywałem wrażenia. Powstał z tego cykl reportaży – wspomnień pod nośnym nadtytułem „NEW YORK AND CHICAGO STORY”. Były to opisy z tej wyprawy Zagłębia na tyle autentyczne i przekonujące, że nawet Janusz Atlas, lisek–chytrusek w podobnych sytuacjach, do dziś sądzi, że naprawdę byłem wówczas z Zagłębiem w USA. A ja towarzyszyłem piłkarzom tylko na lotnisku, w autokarze i w Sosnowcu.

...„Pierwsze dni pobytu piłkarzy Zagłębia za Oceanem potwierdzają opinie, że Polonia amerykańska dzieli się na „starą” i „nową”. Przedstawicielem tej „starej” jest „chłopiec z Sosnowca”, Jan Kiepora. Polacy w USA nadal za nim szaleją. Kiepora wraz z żoną Martą Eggert i synem byli na meczu Zagłębia z Guimaraes. Kiepora pozdrawia publiczność, widzowie skandują: – Ja-nek! Ja-nek! „Chłopiec z Sosnowca” nie zapomniał o swoich krajanach. W przerwie wpadł podniecony do szatni i wykrzykiwał: – *Rodacy, jesteście wspaniali! Ja podbiłem Amerykę gardłem, a wy zawojujecie nogami...*”

...„Zagłębie mistrzem grupy. W Waszyngtonie prezes Wszolek był na cmentarzu, na którym pochowany jest prezydent USA, John Kennedy. Na tym samym cmentarzu spoczywa Ignacy Paderewski. Prości ludzie, głównie ci mniej zamożni, jeszcze dziś przychodzą na grób prezydenta, oddają mu należną cześć i składają kwiaty.”

Na spotkaniu w siedzibie stałego przedstawiciela Polski w ONZ przegranii działacze Werderu pytali mister Coxa:

- Właściwie co to, kto to jest to Zagłębie?
- Dobry klub z Polski... Ja go odkryłem – chełpił się Cox.
- Teraz chyba już dobrze nas znają – podchwycił prezes Wszółek.
- O, yes! Very good!

Po każdej wygranej Zagłębia dzwonili do Franciszka Wszółka nasi rodacy z różnych stanów USA, najczęściej pewien restaurator z Brooklynu:

– Panie prezes! Będzie moja wielka miłość, jeśli pan przyjedzie do mnie na obiad...

Piłkarze Zagłębia nie mogli narzekać w USA na brak pokus. Jednak byli niezwykle zdyscyplinowani. Najtrudniej było utrzymać sportowy reżim w domu wypoczynkowym pana Bękarciaka. Wczasujący u niego rodacy byli szczególnie wylewni. Sukces Zagłębia w rankingu UEFA nie miał większego znaczenia, nie zmienił w Europie złej opinii o polskim piłkarstwie. Co się odwlecze, to nie uciecze... Dość szybko po tych towarzyskich przymiarkach za Oceanem przyszły osiągnięcia w rozgrywkach pilotowanych przez Europejską Unię Piłkarską. Najwyżej wywindowała się Legia. W Pucharze Zdobywców Pucharu wyeliminowała kolejno Admirę Wiedeń i Galatasaray Sztambuł i jako pierwsza z polskich klubów awansowała do ćwierćfinału PZP.

Wiosną 1965 roku warszawiacy trafili na TSV 1860 Monachium. Drużyna dobra, w pełni sezonu, z tradycjami, w tamtych czasach dużo lepsza, niż głośny dziś Bayern. Niemcy od początku byli więc faworytami, ale zwycięstwo 4:0 w Warszawie przyszło im stanowczo za łatwo. Legioniści wystąpili w mocno osłabionym składzie, poza tym w iście zimowej scenerii czuli się wyjątkowo podle. Ślizgali się po zlodowaciałej murawie, podczas gdy rywale takich kłopotów nie mieli. Zagrali w butach z odpowiednio dobranymi kołkami. Nie bez grzechu był tu również trener Virgil Popescu. Źle zestawił drużynę. W rewanżu strat nie da się odrobić.

Trener zabrał do Monachium trzech bramkarzy: Stanisława Fołtyna, Ignacego Penconka i Władysława Grotyńskiego. W przeddzień meczu, zaraz po kolacji, pojawił się w moim pokoju i po pierwszym piwku zapytał:

– Kogo postawiłby pan w bramce w jutrzejszym meczu? Fołtyna czy Penconka?

– Gdyby to ode mnie zależało, to... żadnego z nich – odpowiedziałem nieco wymijająco, ale stanowczo.

– Zatem kogo? – zdziwił się Popescu.

– Zabrał pan ze sobą tego niespełna dwudziestolatka, Władka Grotyńskiego... Chłopak jest utalentowany, ambitny... Już dużo umie! Aż pali się do gry... Chyba nie przyjechał tu li tylko na wycieczkę?...

Rozmawialiśmy do późnych godzin nocnych. W pewnym momencie pojawił się kolejny gość trener Ryszard Koncewicz, który akurat wtedy był w Hamburgu na meczu RFN – Włochy. Teraz w Monachium chciał obejrzyć legionistów. „Faja” opowiadał głównie o tym, jak grają makaroniarze, nasz najbliższy przeciwnik w eliminacjach mistrzostw świata. Popescu nadal główkował kogo wstawić do bramki. Rozważył wszystkie „za” i „przeciw” i... wybrał Grotyńskiego. Władek nie zawiódł. Co tam „nie zawiódł” – grał rewelacyjnie! Nie przepuścił gola, w efekcie Legia uzyskała szokujący Niemców bezbramkowy remis.

Zdziwiony, ale zadowolony był też dziennikarz z rozgłośni radia „Wolna Europa”. Nie proszony czekał na mnie na stadionie tak długo, dopóki nie nadałem sprawozdania do Warszawy. Nikt z naszej ekipy o mnie nie pamiętał, on tak. Bez słów otworzył drzwi samochodu, zawiózł do hotelu i zaprosił na kolację. Dopiero teraz stał się rozmowny. Przy piwie zwierzył się, że pochodzi z Krakowa i uczył się w tym samym gimnazjum, co Józef Cyrankiewicz. Twierdził jednak, że premier PRL przed wojną inaczej się nazywał. W ekipie Legii był oficer z wojskowych służb informacyjnych.